Rok V. Grudzień 1924. Nr. 10.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK — KRAJOZNAWCZY

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO.



Ruiny Liptowskiego zamku.

Fot. M. G.

DR ADAM GADOMSKI.

Górskie wyprawy.

(Wrażenia z ostatniego lata).

Czasem najlepiej złożone pod względem towarzystwa wyprawy górskie nie udają się i wycieczka rozpada się na parę grup wzajemnie się szukających. Tak też zdarzyło się i w lecie bieżącego roku, gdy ogłosiłem wycieczkę w grupę Łomnicy, której głównym celem miało być dokładne zaznajomienie się z polem wiecznych śniegów „pod Miedzianą Ławką“, co do których juz z poprzedniego lata żywiłem pewne podejrzenia, iż kryją pod sobą ukryty prawdziwy lodowiec. Zwróciłem się tedy do taterników i geografów, z propozycją zwiedzenia tychże okolic sądząc, że tego rodzaju symbioza naukowo-turystyczna wyda najlepsze rezultaty. Geografowie odbywali w tym czasie wycieczkę dookoła Tatr, wycieczkę pamiętną zwiedzeniem groty Lodowej, zejściem po nocy z Czerwonych Wierchów i nadzwyczaj gościnnem przyjęciem w schronisku doliny Kościeliskiej, gdzie przed wycieczką zamknięto schronisko, a proszącym o posiłek i nocleg grożono rewolwerem. W wycieczce tej brałem udział i w ciągu dalszej drogi aż do Tatr umówiłem się o miejsce wspólnego spotkania z bracią geograficzną. W Zakopanem, gdzie po rozstaniu z geografami zająłem się przygotowaniem wyprawy na lodowiec, zmówiłem się z taternikami, by z nimi wyruszyć na spotkanie idących od Liptowa geografów. Tymczasem w dniu wymarszu taternicy zawiedli, tak, że nie pozostało mi nic innego, jak samemu w towarzystwie tylko dwóch dzielnych a przebywających w Zakopanem geografek udać się na tę wyprawę. Taternicy mieli nazajutrz wyruszyć i spotkać się z nami przy Zielonym Stawie.

Zaopatrzony w linę, wyruszyłem pieszo drogą jezdną ku Łysej Polanie pospiesznym marszem, ponieważ w dniu tym należało przejść na drugą stronę Tatr, a w dniu następnym przecież miało nastąpić spotkanie z geografami. Dzień nie zapowiadał się pomyślnie, góry schowały się we mgłach, przejmujące zimno wskazywało, iż w górach w nocy spadły śniegi. Wszystko to nie było dobrą zapowiedzią dla naszej skromnej grupy wycieczkowej, a zwłaszcza dla spotkania się aż trzech partyj ze sobą. Na granicy czeskiej przy Łysej Polanie małe zajście; towarzyszki bowiem moje nie miały żądanych przepustek, ale ufni w szczęśliwe przebycie granicy przy poprzedniej wycieczce i to wobec urzędów celnych w Suchej Górze, położonej przecież przy linji kolejowej, wkroczyliśmy odważnie na teren Spiszu. Wybiegło dwóch celników, przyczem nastąpiły pertraktacje z powołaniem się na moją nawet wizytę na zamku Hradczyńskim w czasie zjazdu geografów słowiańskich w Pradze i ostatecznie groźni celnicy wpuścili moje towarzyszki w terytorjum państwa czesko-słowackiego. Wieczorem dnia tego dotarliśmy do schroniska przy Zielonym Stawie Kieżmarskim, by nazajutrz spotkać się z geografami i wyruszyć na zwiedzenie lodowca.

Dzień następny ani geografów, ani taterników nam nie przyniósł, choć pierwszych nawet wołanie słyszeliśmy. Wycieczka ta, wracając z okrężnej wyprawy dookoła Tatr, przeszła w pobliżu Zielonego Stawu, nie wstępując doń jednak.



Lodowiec Miedzianej Ławki pod Łomnicą w Tatrach. Na pierwszym planie czarne wejście do jaskiń podlodowcowych. Środkowy piarg zalega na lodzie.

Spodziewając się nadejścia geografów, zostawiliśmy wiadomości w schronisku i ruszyliśmy ku górnym wiszącym piętrom doliny Kieżmarskiej, kierując się w stronę tak zwanej Miedzianej Ławki pod Łomnicą. Wkrótce dopędziliśmy towarzystwo, złożone z trzech osób, p. J. z Warszawy, którzy wybierali się na Łomnicę drogą przez Miedzianą Ławkę, część więc naszej drogi mieliśmy wspólnie odbywać. Dojście pod Miedzianą Ławkę odbywa się drogą górską, zaopatrzoną w klamry i łańcuchy, a prowadzącą do Dzikiej Doliny. Wspinając się przy pomocy rąk bardzo

bystro po ścianie skalnej, minęliśmy stopień doliny wiszącej i stanęliśmy w dolnych partjach Dzikiej Doliny, skąd roztoczył się piękny widok na olbrzymie płaty śnieżnych pól, wypełniających sąsiednią dolinę Miedzianej Ławki. Wkrótce stanęliśmy u czoła tych śniegów, które kończyły się charakterystyczną jamą, pozwalającą wejść do środka popod śnieżną pokrywę. Wejście to odrazu pozwoliło mi stwierdzić, iż pod powierzchnią śniegu znajduje się gruba do paru metrów warstwa lodu. Posuwając się ku górze, wkrótce pożegnaliśmy się z przygodnem towarzystwem i widząc parę wejść bocznych, wstąpiliśmy pod lodowiec. Roztoczyły się przed oczyma piękne groty lodowe, pozwalające stojąco się posuwać, to znowu schylonym przechodzić do następnych.

Doszliśmy również do pięknej podłużnej szczeliny lodowej, której jednak ze względu na brak taternickiej asekuracji linowej nie przekraczałem. W ten sposób wędrując, spędziliśmy pewien odstęp czasu pod lodowcem i dotkliwie zmarznięci wyszliśmy na światło dzienne, by szybko powrócić do ciepłego schroniska, zwłaszcza iż się zachmurzyło i groziło opadem śnieżnym.

Tymczasem na odgłos naszej rozmowy doszły nas od gór wołania, w ślad za któremi idąc, spostrzegliśmy w ścianach Miedzianej Ławki naszych przygodnych towarzyszy warszawskich w miejscu bardzo niefortunnem, z którego i do góry i w dół ścieliła się niebezpieczna bardzo droga. Dysponując liną, nieużywaną nawet dotąd, ze względu na brak turystów, z którymi przecież mieliśmy dokonać wejścia na górne partje lodowca, postanowiłem przyjść z pomocą państwu J. Udało mi się żlebem bocznym wydostać ponad zaklinowanych w skale i przy pomocy liny zaasekurować zejście, sam zaś drogą poprzednią powróciłem na dół. Wróciliśmy tedy wszyscy do schroniska i jeszcze tego samego dnia ruszyliśmy do Jaskiń Bielskich, spodziewając się tam zastać naszych geografów. Niestety, z przyczyn poprzednio wymienionych nie doszło do tego, natomiast spotkaliśmy znowu p. J. z Warszawy, którzy zrezygnowali już z wejścia na Łomnicę, a pragnęli zwiedzić słynne Jaskinie Bielskie.

Wieczorem zeszliśmy się przy stole restauracyjnym, gdzie za udzieloną pomoc spotkała nas nagroda w postaci obfitej ilości tokaju o wiele tańszego niż u nas.

Nazajutrz z memi dzielnemi towarzyszkami pp. O. i J. wróciliśmy, maszerując rekordowo przez Żar, Jaworzynę Spiską do Zakopanego. Myśl jednak o lodowcu, o dokładniejszem poznaniu jego życia nie opuszczała mię i wkrótce potem, korzystając z piękniejszej pogody, wyruszyłem znowu w stronę pięknego Zielonego Stawu. Spędziłem tam jeden przepiękny dzień w dolinie Miedzianej Ławki. W czasie porannych godzin, gdy dolina spowita była w zupełnym cieniu, lodowiec i śniegi go zalegające okazywały martwotę nocnego zamrożenia, spokój na powierzchni, a koloryt ciemno-szary. W południe jednak, gdy słońce zajrzało z góry i oświetliło dolinę, martwota ustała; naświetlone masy śnieżno-lodowe poczęły gwałtownie jaśnieć, lodowiec, dotąd senny,

ożył. Liczne strumienie topniejących wierzchnich śniegów poczęły spływać, wpadać z szumem do szczelin, głazy zaś, dotąd przymarznięte i jakby stężałe, ruszyły, powodując potężną kanonadę wśród ciszy gór.

Po jakiej godzinie tego życia, gdy spływające po wierzchu wody wyrzeźbiły w wierzchniej warstwie firnu głębokie bruzdy, lodowiec zaczął błyszczeć tak silnie, iż nie można było nań spoglądać bez przymrużenia oczu. Jasność ta natychmiast ustała, gdy słońce schowało się za grań Durnego, a lodowiec przybrał kolor sino-niebieski, szum potoków uspokoił się, głazy przestały lecieć. Pod wieczór lodowiec znowu począł zapadać w sen nocny, a ciało jego, na wierzchu częściowo odtajałe, poczynało tężeć i marznąć tworząc stalowego koloru masę ogromnie śliską przy schodzeniu. Ofiarą tej śliskości przy schodzeniu padła w tym roku partja turystów, która, pragnąc zwiedzić prawdziwy lodowiec tatrzański już po jego opisaniu przeze mnie, a nie zaopatrzona w linę, była zmuszona jedną noc przepędzić wśród skał i dotkliwie przemrożona, drugiego dnia, przy pomocy, z dołu udzielonej, dotarła do schroniska. Również i moje drugie towarzystwo, które mi aż do lodowca towarzyszyło, a następnie przez Miedzianą Ławkę udało się na Łomnicę, z powodu spóźnionej pory było zmuszone nocować pod szczytem, podczas gdy ja, syt zadowolenia i ciekawych obserwacyj, wracałem po pięknym tym dniu na noc do ciepłego schroniska przy Zielonym Stawie Kieżmarskim. — Nazajutrz przez Kotową przełęcz i Kołową dolinę, idąc przez cały dzień, a rozkoszując się ciszą gór, wróciłem do Zakopanego, żegnając się z Tatrami i ich letnim wyglądem; zajęcia bowiem zmuszały mię do powrotu w niziny.

M. G.

W liptowskich Dolinach...

Wśród skwarnego, sierpniowego popołudnia, mozolnie pięliśmy się trawiastem zboczem na grzbiet Upłazu Długiego w Tatrach Zachodnich, na którym miałem się rozstać z mymi sześcioma słowackimi kolegami.

Spotkałem się z nimi, zgodnie z listowną umową, nad uroczem Jeziorem Popradzkiem i odtąd towarzyszyłem im przez kilka dni z rzędu we włóczęgach tatrzańskich. Te kilka dni wystarczyły zupełnie, bym się z nimi mógł zaprzyjaźnić, to też z pewnym żalem myślałem, że niedługo będę im ściskał dłoń na pożegnanie. Dosięgliśmy grani Upłazu Długiego w pobliżu granitowego słupa granicznego, na którym, obok daty 1920, czerwieniły się na przeciwległych ścianach wyryte litery P i CzS.

Twarze mych towarzyszy ożywiły się. Stali na granicy swej ojczyzny, którą przed kilku dniami opuścili. U ich stóp leżała urocza połać Tatr Zachodnich, w sporze o Orawę Czecho-Słowacji przyznana. Lesiste, ogromne doliny Łatana i Zuberska, ogra-

niczone granitowym murem Rohaczów i wapiennemi stokami Osobitej, wybiegały w siną dal ku zachodowi, w której majaczyła wioska Zuberzec, leżąca niemal już u podnóża Hal Liptowsko-Orawskich. Ta wioska miała być kresem dzisiejszego dnia podróży mych towarzyszy, na grani zaś Upłazu miały się rozbiegnąć nasze drogi. Jeden z kolegów, ogromny, czarny młodzieniec, który swym oryginalnym wyglądem budził powszechną senzację w Zakopanem, przyłożywszy dłonie do ust, huknął przeciągle potężnym basem: al-do-ri-dooo! aż echo zatłukło się wśród gór. Na to, szczupły i niski, z ogromną, czarną czupryną, towarzysz jego, którego nazywaliśmy 38-kilowy (okazało się, że ważył po powrocie z wycieczki jeszcze mniej), jako że wiatr na Orlej Perci chciał go przerzucić wraz z rojem motyli bielinków na taflę Zmarzłego Stawu, zanucił czystym, wysokim głosem, jak mówił, „na pożegnanie bratniej Polsce“, rzewną dumkę, którą natychmiast podjęli jego koledzy. Gdy zmilkły jej tony, począłem się żegnać z sympatycznymi kolegami, lecz oni tak serdecznie i natarczywie zapraszali mię do siebie, że, jakkolwiek 15 złotych miałem w kieszeni i byłem bez przepustki granicznej, nie mogłem się oprzeć pokusie zwiedzenia pełnych tajemniczego dla mnie uroku nieznanych mi zakątków Słowaczyzny.

Uległem ich prośbom. Późną nocą dotarliśmy do Zuberca. Nazajutrz przez Huty i romantyczny wąwóz Kwaczański dostaliśmy się do stacji kolejowej Paryżowce w dolinie Wagu, skąd pociąg zawiózł nas do Rużomberka. Okolica Zuberca, Hut i Kwaczan jest niezmiernie ciekawa pod względem morfologicznym i etnograficznym. Tędy wsączał się wąską strugą w ciągu wieków żywioł polski w obszar pobratymczego narodu słowackiego, tu się wynaradawiał, a jedynie z izolowanych od jego wpływów dolinach zachowywał swą nieuświadomioną odrębność etniczną, mimo kompletnego odcięcia od swego pnia macierzystego. Od kilku lat zacierają się coraz więcej zabytki polskości w tych wyspach, które niegdyś stanowiły jednę długą mierzeję, ciągnącą się przez rów podtatrzański po północnej stronie anekumeny Tatr Zachodnich i Hal Liptowsko-Orawskich i rozczłonkowującą się przez wąwóz Kwaczański i Prosiecki łańcuchem wysp, sięgającym aż w głąbokie doliny zachodniego obszaru Niżnich Tatr (Osada, Rewuce i in.). Sposób budowania chat, strój ludowy, ślady polskiego djalektu oraz żyjące jeszcze podania, związane z ruinami zamczyska Likawki, wznoszącemi się romantycznie opodal Rużamberku u stóp Wielkiego Chocza (1603), wskazują na pierwotną polskość tych wiosek.

Jeden z wieśniaków z okolicy Korytnicy opowiadał mi, że niegdyś wioski te musiały dostarczać właścicielom zamku likawskiego wodę mineralną w beczkach, zaś przy budowie bardzo głębokiej studni zamkowej (która dziś jest zasklepiona) miano używać wapna, zaprawianego winem i jajami, które dostarczała okoliczna ludność. Ponieważ dziedzicem tego zamku był hrabia na Liptowie i Orawie Piotr Komorowski (za panowania Macieja

Korwina), przeto tłumaczyłoby to powstanie osad polskich na Orawie i Liptowie.

Dzisiaj, gdy tchnienie przeszłości wionie na polskiego wędrowca z omszałych ruin zamczyska, bez żalu musi on patrzeć na te zamarłe ślady polskości, która tu w tej tak ze wszech miar ciekawej i malowniczej okolicy niegdyś zakorzeniła się na podłożu jedynie ekonomicznem, nigdy zaś ekspanzji politycznej, tak obcej duchowi dziejów Polski.

Dr. A. GADOMSKI.

Atlantyda.

Do odwiecznych tradycji ludzkości należy podanie o „Atlantydzie", o nieznanej, zaginionej części świata. Wszyscy niemal starożytni mędrcy wspominają o niej. Platon mówi o tym lądzie zamarłym, który zowie Posejdonją, jako o rzeczy niewątpliwej. W czasach przedwojennych uczony Scott-Elliot zgromadził wszystkie dowody i rozważając je kolejno, doszedł do wniosku, że istnienie tej zaginionej części świata jest wielce prawdopodobnem.

Autor dzieli dowody swoje na pięć kategoryj:

I) Dowody, wynikające z badań głębin morskich. II) Dowody, wynikające z podziału fauny i flory. III) Analogje pojęć religijnych. IV) Analogie typów plemiennych i pokrewieństwo języków. V) Dowody pisarzy starożytnych i podania o Potopie. — Co do pierwszej kategorji, to w r. 1873 urządzono wyprawę w celu badań naukowych nad głębokością oceanu Atlantyckiego i ułożono dokładną mapę głębin oceanu. Okazało się, że na środkowej przestrzeni oceanu znajduje się wielki łańcuch gór pod powierzchnią morza.

Łańcuch ten idzie w południowo-zachodnim kierunku od 50° szerokości północnej do brzegów Ameryki południowej, tu skręca się ku Afryce i w pobliżu wyspy Ascension zmienia znów kierunek ku wyspie Tristan da' Acunha, wyspy zaś Azorskie, św. Pawła i Tristan da' Acunha są to jedynie szczyty owego podmorskiego pasma gór. Dodać należy, że są to wyspy, których wulkany są przeważnie wygasłe, i że właśnie wskutek dawnej działalności wulkanicznej i tektonicznej musiały się odbyć wielkie przewroty, które zniszczyły Atlantydę. Że procesy te jeszcze nadal trwają, najlepiej dowodzi wyspa Salezina z grupy wysp Azorskich, która czterokrotnie ukazywała się i znikała w latach 1658, 1691, 1720 i 1811. Do rzędu również resztkowych wysp, należą Madeira i wyspy Kanaryjskie, położone nieco bliżej wybrzeży afrykańskich.

Inny uczony Starkie-Gardner przypuszcza, że Wielka Brytanja jest częścią kontynentu, który obejmował znaczną część oceanu Atlantyckiego i lądu Ameryki północnej i południowej, których zachodnie jednak przestrzenie były pokryte morzem, w miejscu dzisiejszych Kordyljerów.

W dowodach kategorji drugiej zwraca Scott Elliot uwagę na istnienie tych samych gatunków zwierząt i roślin na lądach starego i nowego świata. Ponieważ nauka przyjmuje, że każdy gatunek mógł powstać tylko w jednym punkcie świata i dopiero później się rozpowszechnił, nasuwa się przypuszczenie, że istniało jakieś połączenie między Europą i Ameryką, a tym połączeniem mogła być właśnie Atlantyda. Na dowód tego można przytoczyć przykłady, że w Europie spotykamy szkielety bawołów amerykańskich, a w Ameryce kości europejskiego lwa jaskiniowego.

Co zaś do analogji pojęć religijnych, to w Ameryce Hiszpanie i inni odkrywcy wszędzie u ludów tamtejszych spostrzegli obec-



Położenie Atlantydy względnie ówczesnego lądu Afryki i Europy.

ność krzyża, kult słońca, koła i węża. Aztekowie, tak, jak Egipcjanie balsamowali ciała umarłych i wierzyli też w bóstwa niewidzialne i bezcielesne. Co zaś do pokrewieństwa języków, to imię Boga brzmi prawie jednakowo. W Meksyku Teo i Zeo, podobnie do greckiego Theos i Zeus i łacińskiego Deus. Pismo jest także podobne. Hieroglify meksykańskie są zupełnie podobne do hieroglifów egipskich, to samo również i dotyczy pisania obu krajów. Zdarza się to w szczegółach tak drobnych, że przypadek zawsze trzeba wykluczyć, a przyjąć związek między obu lądami. P. La Plongien, który wydał księgi ludu Maya, żyjącego w Jukatanie w środkowej Ameryce twierdzi, że trzecia

część tego języka to czysta greczyzna, gdy znów język plemienia Chiapenek ma podobieństwo z hebrajskim. Także Baskowie mówią językiem, zbliżonym do plemion amerykańskich.

Baskowie, zajmując cały półwysep Iberyjski, stykali się zapewne z ludami amerykańskimi przez Związek Atlantydy. W związku z tem i pracami nad wykopaliskami miasta Tartesos w Hiszpanji powstał obecnie instytut ibero-amerykański, mający na celu studja nad rozwiązaniem tego problemu. Liczne są wzmianki pisarzy starożytnych o nieznanym lądzie za słupami Herkulesa — (Gibraltaru). Dyodor Sycylijski wspomina o tym lądzie, a także Marcellus mówi o wyspach Kanaryjskich, których mieszkańcy przechowują



Miejscowości ulegające częstszym trzęsieniom ziemi

pamięć o wielkim lądzie, Gallowie zaś mają podania o najeźdźcach z dalekiej wyspy Atlantydy. Ludy zaś Ameryki środkowej twierdzą, że ich ląd szeroko się rozpościerał w głąb oceanu i pamiętają katastrofy, które ten ląd zniszczyły, gdyż prace Le Plangena, polegające na odczytaniu starych ksiąg ludu May'ów, dały nam opis tej katastrofy, gdy ląd, znajdujący się na wschodzie słońca od Jukatanu, pogrążył się w falach oceanu Atlantyckiego. Tyle co do dowodów 5 kategoryj, zebranych przez Scott-Elliota dla poparcia istnienia Atlantydy. Dzisiejsza nauka nie wypowiedziała jeszcze swego zdania, czy Atlantyda istniała, czy też nie, w każdym razie zajmując się powstaniem basenu oceanu Atlantyckiego stwierdzono, że postać swą zawdzięcza on zapadnięciu się mas lądowych pod koniec trzeciorzędu a na początku czwartorzędu. Połączenie więc pomiędzy Europą a Ameryką istniało a znikło

dopiero na początku epoki lodowej, gdy jeszcze ludzkość była w zaraniu cywilizacji. Natomiast możliwem jest, iż już w czasach historycznych, a więc w starożytności — skutkiem dalszych procesów tektonicznych zapadła stę resztka owego dawnego lądowego pomostu euro-amerykańskiego, istniejąca jeszcze w postaci legendarnej wyspy Atlantydy. Byłaby to pierwsza wielka katastrofa w czasach historycznych, nie poparta jednak zupełnie pewnemi dowodami. Że procesy podobne, jednak nie o takiem natężeniu, się zdarzały, dowodzi np. geologicznie stwierdzone zapadnięcie lądu Tyrrenidy, których resztkami są Korsyka i Sardynja, dalej odłączenie się W. Brytanji od lądu europejskiego, odłączenie, które dokonało się w czasach epoki lodowej, dalej np. wtargnięcie morza w Holandję w ciągu XII do XV wieku i zalanie większych części kraju (przemianie dawnego jeziora Flewijskiego śródlądowego w zatokę Zuidersee), częściowy ubytek wyspy Helgoland, niszczonej falami morza, której dawne mapy wskazują na dość znaczną wyspę z licznemi wsiami — katastrofa wyspy Krakatau, a wreszcze ostatnie wrześniowe trzęsienie ziemi japońskie z r. 1923, gdy wyspa Enoszima czasowo znikła a potem znowu się wynurzyła z fal oceanu. Prawdopodobnie dalsze prace instytutu ibero-amerykańskiego i fundacji Carnegiego na Jukatanie, w związku z badaniami dna morskiego przyczynią się do zupełnego rozświetlenia tej kwestji.

Zbierając wszystkie te dane powiemy: że istniała przed tysiącami lat na oceanie Atlantyckim, potężna wyspa lub też parę wysp, której mieszkańcy musieli być ludźmi o dość znacznej kulturze, skoro pozostawili po sobie tak głęboką pamięć. Kraj ten prawdopodobnie przeludniony kolonizował brzegi Afryki, Europy, a może i nawet Ameryki, a dzisiejsi mieszkańcy wysp Kanaryjskich, tak zwani Gnapchowie, mogliby być zachowaną resztką tej ludności.

MIECZYSŁAW WARGOWSKI.

Pieniny we mgłach...

Ujrzałem je pewnego dnia... ciche, smutne, a dziwne piękne.

Suknie ich, poprzerywane pasemkami aksamitnej zieleni traw i lasów smrekowych, mieniły się na sinej przestrzeni niebios w słonecznych łun odblaskach, lecz wiatr co chwila porywał długi, przejrzysty welon mgieł, zasłaniając ich widok.

Ścielił się po bieli ich urwistych skał migotliwą centką nieustannie ruchliwą, wplątywał się, opasywał ich kibić, spętał mchami porosłe stepy zuchwałą sino zabarwioną mgieł smugą.

Przed niemi, po gazdówkach mżył już drobny, szary, majowy deszczyk, który objął kraj, zdając się martwotą panować w przyrodzie.

Sromowce, 15 maja 1924.



Widok na Sokolicę i Dunajec z zameczku św. Kingi w Pieninach.
(Zdjęcie przez mgłę).

MARJAN GOTKIEWICZ.

Grota „Olejarnia“ w Dolinie Chochołowskiej.

W Dolinie Chochołowskiej, we wschodnich zboczach Bobrowca (1.664 m), opadających skalistemi ścianami ku Potokowi Chochołowskiemu, znajduje się na wysokości około 130 m nad jego poziomem obszerna grota, zwana przez miejscowych górali „Olejarnią“.

Charakter jej korytarzowy, długość głównej odnogi przeszło 50 m, wysokość dochodzi miejscami do 7 m. Oprócz głównego korytarza posiada ona kilka innych pobocznych, obfitujących w kamienne mleko, osadzone na ścianach przez spadającą kroplami wodę w misterne, przeważnie białe, miejscami zabarwione koronki. Dno jaskini zalegają w pierwszej jej części potężne głazy oberwane ze stropu, a dalej w głębi gruz wapienny, przysypany przy końcu groty czarną, wilgotną próchnicą. W kilku miejscach spotyka się kości. Zaznaczam, że przed dwoma laty [1]), gdy byłem po raz pierwszy w „Olejarni“, było ich o wiele więcej jak obecnie, co dowodzi, że musiały być przez ludzi wyniesione. Ściany miejscami okopcone pochodnią, resztki ogniska, odbite ostrem narzędziem kamienne mleko, używane przez górali jako lekarstwo dla bydła, wreszcie porzucone sochy świadczą, że niekiedy zaglądają tam ludzie.

Jaskinia zaczyna się niewielkim, $1^1/_2$ m wysokim, 2 m szerokim otworem, nie widocznym dla patrzącego z dołu, ponieważ zasłaniają go świerki i krawędź skalna. Niebawem otwór rozszerza się w obszerny, 20 m długi korytarz (długa, o skośnie nachylonych ścianach szczelina), szerokości 3 m, który skręca się przy dwudziestym m na prawo, poczem rozdziela się na cztery odnogi, z których najdłuższa z licznemi kośćmi. Dwa inne otwory po przeciwnej stronie (lewej) nie zasługują na nazwę korytarzy, gdyż są tak wąskie, że trzeba się przez nie na brzuchu przeciskać, uchodzą pod kątem prostym do korytarza, którego jeden koniec tworzy rodzaj szczupłej komory, drugi zaś opada w dół i zasypany jest żwirem. Tędy musiało prowadzić przejście do dalszych części jaskini, zostało jednak zasypane. Odnoga wznosi się nieco ku górze, kończąc się żwirowiskiem, zasypanem czarną warstwą mokrej próchnicy. Z wyjątkiem tej górnej części reszta korytarzy groty prowadzi w dół pod kątem 2^0—3^0 nachylenia.

Temperatura dość niska, głos pozostaje bez echa, ciszę przerywa odgłos spadających od czasu do czasu kropel wody.

Widok od wejścia do jaskini bardzo malowniczy zarówno na doliny Jarząbczą i Starobociańską, nad którą wznosi się majestatycznie szczyt tej nazwy, jak też na lesiste wschodnie zbocza Kominów Tylkowych i szumiący w dole po głazach potok Chochołowski.

Skąd pochodzi nazwa „Olejarnia“, nie mogłem się od żadnego

---

[1]) Autor pisał te słowa w r. 1920.

z górali znających ją dowiedzieć. Opowiadali mi oni fantastyczne o niej baśnie. Pos. Bednarczyk z Cichego twierdzi, że przed jakiemi 20 laty, gdy był w niej, znalazł w korytarzu AB potłuczone flaszki i szklanki.

W pobliżu niej znajduje się kilka pomniejszych dziur, których nie opisuję. Załączam dla orjentacji plan groty, który jednak nie jest szczegółowy i dokładny (nie zaznaczam w nim np. pewnej pokaźnej szczeliny, której nie badałem i t. p.).

JÓZEF STAŚKO.

Rybacy helscy.

Na najdalszym północnym krańcu Rzeczypospolitej zimne fale Bałtyku oblewaja z dwóch stron wąski a wydłużony pasek ziemi: to półwysep Hel, długość 37 km, o powierzchni zaś tylko 31 km², wyłania się nam z wody jako smuga piasków, na których rośnie wątły las i ukazują się czerwone domki osad rybackich. Osad tych mamy pięć: Hel, Bór, Jastarnia, Kuźnica i Chałupy, razem blisko 3000 mieszkańców. Wszystkie one położone nad zatoką Pucką, nad Małem Morzem — jak mówią rybacy. Ludność Helu jest niemiecka, a inne osady, to sami Kaszubi rybacy.

Oprócz księdza i nauczyciela wszyscy trudnią się rybołostwem. Niema tu bowiem pól ani łąk rozległych, niema koni ani pługów — zaledwie garstkę krów można zobaczyć pod Jastarnią. Ziemia ta bowiem nieurodzajna nie może żywić człowieka, nic więc dziwnego, że rybacy żyją z morza, na którem większą część życia spędzają.

Jeździmy na Hel w lecie, kiedy jest ciepło i niema burz. Dopiero w jesieni lub w zimie można zobaczyć tam, jakie to życie prowadzą rybacy „na swej półwyspie". Silne wichury i huczące fale wyją dniem i nocą nieraz przez dłuższy czas, nie pozwalając na wyjazd na połów ryb, jeżeli więc w jakiej chacie niema zapasów żywności, tam zagląda bieda.

Bywają tu i wichry, że słychać szczególnie nocami, jak ziemia półwyspu drga w swych posadach. Bywają tu i katastrofy, jak w latach 1899, 1904 i 1914, kiedy Bałtyk wdarł się przez nadbrzeżne wydmy na półwysep i zalał Kuźnicę i inne wsie.

A trzeba wiedzieć, że półwysep wszędzie jest nadzwyczaj wąski; w najszerszem miejscu na północ od Helu ma zaledwie dwa i pół kilometra szerokości, poczem zwęża się aż do 1 km pod Borem i Jastarnią. Dalej wszędzie nie przenosi 300 metrów szerokości, a pod górą Libek i pod wsiami Kuźnicą i Chałupami jest szeroki tylko na 200 metrów. Domy zaś chronią wysokie na 4—6 m wydmy, sztucznie sadzone jeszcze przez rząd pruski od strony Bałtyku. Od strony jednakże Małego Morza niema żadnych wydm, lub ciągną się gdzieniegdzie wały piasków, tylko metr lub dwa wysokie.

Lecz rybacy helscy przywykli do morza i jego kaprysów. —

Wszak ono ich żywi i odziewa, wszak ono ryby im zapędza do sieci. Rybacy zaprawieni są w walce z żywiołem wodnym, a sami będąc niepospolitej siły i energji, nieraz znajdują się w niebezpieczeństwie życia i wyrywają się z opresji, szczęśliwie wracając do domu.

Od dzieciństwa łowią ryby o każdej porze doby i roku, gdy tylko to jest możliwe i pogoda pozwala.

Gdy np. flądry się pokażą, zaraz cała wieś wyrusza, zostają tylko kobiety, starcy i małe dzieci, przygotowując się na przyjęcie połowu. Lecz mogłoby łatwo przyjść do kłótni, gdyby tak ze 100—200 łodzi popłynęło łowić na miejsce, gdzie ryby przepływają. Rybacy więc potrafili tak się urządzić, aby nigdy nie powstał żaden spór.

Mianowicie zrzeszeni są w specjalne związki rybackie w t. zw. maszoperje (z holenderskiego). Każda maszoperja składa się z 10 do 12 członków czyli maszopów i łowi wspólnie ryby, poczem przychodzi do podziału połowu. Każdy rybak dostaje jedną część czyli part, oprócz tego właściciel łodzi dostaje też jeden part. Wdowy po zmarłych maszopach otrzymują po pół partu, dzieci po ćwierć partu. Wszędzie panuje równość. Otóż każda maszoperja posiada swoje własne miejsce na morzu do łowienia, czyli swoją toń. Te tonie zmieniają co roku swoich właścicieli i tak w ciągu pewnego czasu każda pojedyncza maszoperja przechodzi przez całą długość obszaru gminy na półwyspie. Zapobiega to wszelkim sporom. I nieraz się zdarzy, że rybacy napracują się całą noc, a nic nie ułowią, gdy sąsiedzi złowili już 5—6 ctn. Ale co się jednym trafiło dziś, to się trafić może drugim jutro, rybak więc zawsze jest pogodnej myśli. Wielu z nich zaciągało się dawniej do marynarki niemieckiej, nic więc dziwnego, że zwiedzili kawał świata, przywożąc potem do swej wioski rodzinnej oszczędzony grosz. Takich najdoświadczeńszych wybiera sobie maszoperja na swego kapitana czyli szypra. Szyper miał dawniej wielką władzę, a i dziś jeszcze odgrywa dużą rolę. Na wielkich połowach jesiennych i zimowych wydaje polecenia, kieruje wyprawami, rozdziela połów między maszopów, uśmierza spory i t. d.

Cały rok możemy podzielić mniej więcej na następujące okresy połowów: na wiosnę łowią łososie, w czerwcu i lipcu flądry (sztornie i bańtki), potem węgorze, makrele, szczupaki, we wrześniu i później śledzie, brejtlingi, szproty i t. d.

Do połowu każdego gatunku ryb potrzeba innego rodzaju sieci o różnych nazwach. Nieraz rybacy sami je sobie wyrabiają z bawełny, której bardzo dużo zawsze potrzebują i która nieraz cały ich zarobek pochłania, szczególniej po burzy. Burze rozrywają wszystkie sieci, zastawione w morzu na ryby, jeśli się ich wczas nie usunęło, wskutek czego powstają straty, trudne do powetowania.

Życie więc rybaków helskich — jak widzimy z tego krótkiego i niezupełnego opisu — nie przedstawia się różowo, mimo to opuścić na zawsze „swej półwyspy" nie chcą, tak kochają to morze, nad którem się rodzą, żyją i umierają.

Odezwa

w imieniu dzieci Ziemi Wileńskiej do dzieci innych ziem Polski.

My dzieci ze szkół powszechnych Ziemi Wileńskiej zwracamy się do wszystkich przyjaciół szkolnych innych ziem Polski z następującem serdecznem wezwaniem:

Brak nam pomocy do nauki geografji; mamy tylko mapy i globusy, a chcemy bardzo poznać dokładniej ziemię Polską. Więc też prosimy: nadsyłajcie nam pocztówki o Polsce, niekoniecznie czyste, chociażby używane, już Wam niepotrzebne, z zalepioną korespondencją. Pomóżcie nam poznać przedewszystkiem morze polskie, brzegi rzek polskich, pasma gór, wydmy piaszczyste, łąki szerokie, lasy wspaniałe, dajcie nam obrazki z życia miast polskich, pokażcie nam dworce wasze, rynki miejskie, hale targowe, ratusze, stare pomniki, kościoły, ogrody. mosty, tramwaje, statki wodne i t. d.

Wierzcie nam, iż chcemy poznać Polskę, zanim sami do Was w odwiedziny przyjedziemy, pragniemy się przyjrzeć obrazkom na pocztówkach.

Wzamian za wasze dary wyślemy Wam pocztówki z Ziemi Wileńskiej, dokąd wskażecie.

Wy zaś drodzy, choć dalecy młodzi Rodacy, przysyłajcie nam pocztówki pod następującemi adresami: Wilno, Inspektor szkolny m. Wilna, p. Hirsz, Biskupia 12; Wilno, Inspektor szkolny pow. Wileńskiego, p. Kaczorowski, Biskupia 12; Oszmizna, Inspektor szkolny p. Eymontt; Święciany, Inspektor szkolny p. Porembski; Głębokie, Inspektor szkolny p. Szukiewicz; Duniłowicze, Inspektor szkolny p. Wiszomirski; Brasław, Inspektor szkolny p. Prochonik.

Drobne wiadomości.

Uczczenie pamięci polskiego uczonego we Włoszech. Z gazet włoskich dowiedzieliśmy się, iż w Trieście w sposób uroczysty uczczono pamięć naszego rodaka, przyrodnika Szymona Syrskiego, twórcy i założyciela triesteńskiego muzeum. Przyrodnik ten, urodzony w Małopolsce w r. 1829 jako słuchacz medycyny, pchany żądzą podróżowania, udał się do Anglji, by zaciągnąć się do kompanji indyjskiej, co mu się jednak nie udało. Następnie przebywał w Rosji, a w latach 1870-tych pracował naukowo we Wiedniu i tu wykonał pracę doktorską nad porównaniem kończyn małp z kończynami człowieka. Następnie zwiedza Włochy, zajmując się tutaj przeważnie wulkanizmem, dalej przebywał w Paryżu przygotowując się do objęcia katedry uniwersyteckiej w Warszawie, gdy otrzymał zaproszenie do objęcia posady konserwatora muzeum w Trieście. Pojmując obowiązki, jakie nakłada prowadzenie muzeum, obok zbierania położył głównie nacisk na poznanie fauny adrjatyckiej, W międzyczasie brał udział w ekspedycji na Daleki Wschód, poczem powrócił do Triestu, gdzie pełniąc nadal swe obowiązki zajmował się badaniem jaskiń krasowych, sztucznej hodowli gąbek i t. d. W r. 1875 powołano go na katedrę zoologji na uniwersytecie we Trieście, gdzie w r. 1880 zeszedł z tego świata. Obecnie wolny Triest uczcił pamięć polskiego uczonego

Grób Warneńczyka. Ostatnie dzienniki doniosły, iż w Warnie przy obecności przedstawicieli Polski i Węgier odbyło się uroczyste odsłonięcie

pomnika tego bohaterskiego króla polsko-węgierskiego. „Wzięły w niem udział sfery rządowe, wojskowe i przedstawiciele całego narodu bułgarskiego, w mowach podnoszono, iż król ten pierwszy zapoczątkował ideę oswobodzenia narodów słowiańskich z pod jarzma tureckiego. Przy tej sposobności należy podkreślić, iż miejsce wiecznego spoczynku bohaterskiego króla nie jest ostatecznie ustalone. Pewne dane historyczne kazały go szukać na pobojowisku, w starym kurhanie i tutaj też w r. 1856 czynili poszukiwania polscy legjoniści, biorący udział w wojnie krymskiej po stronie Turcji. Po rozkopaniu mogiły natrafiono na rodzaj grobowca, a wewnątrz znaleziono szkielet ludzki i resztki broni. Spór co do miejsca wiecznego spoczynku bohaterskiego króla zaostrza ta okoliczność, że istnieje jeszcze druga mogiła znana, mogiła ściętej głowy, nasuwająca przypuszczenie, iż może być również grobem Warneńczyka, któremu jak wiadomo po śmierci ścięto głowę.

Z literatury.

Nr. 8 *„Twórczości Młodej Polski"* za listopad r. b. poświęcony H. Sienkiewiczowi, zawiera: „Mistrzowi“ (wiersz) Mira; Królewski Grobowiec M. Kwaskowskiego; Obywatelska zasługa Sienkiewicza, St. Nojszowskiego; Sienkiewicz w malarstwie, M. O. G.; Sienkiewicz i muzyka, F. Wrockiego. Poezje: K. Gałczyńskiego, J. Kleinówny, B. Rychtera i M. Stagierskiej. Bajka (d. c. noweli) K. Gajewskiego, Wrotki (nowela) B. Lekszyckiego, Boli serce, czasem boli (d. c. powieści) H. Radwan-Łozińskiej, dział przekładów z literatury obcej, bogatą kronikę. Cały numer wykonany starannie, na doskonałym papierze, bogato ilustrowany. Okładkę ilustrował Mirosław Ostoja-Gajewski. Cena pojedynczego egzemplarza z przesyłką 1·20 zł. do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach, oraz w administracji, Warszawa, Podwale 4, konto czekowe P. K. O. Nr. 7.062.

„Szopka Harcerska“ Jerzego Brauna. Nakładem Księgarni Towarzystwa Szkoły Ludowej w Krakowie wyszła w tych dniach „Szopka Harcerska“ młodego i utalentowanego poety Jerzego Braunna, znanego w kołach małopolskich harcerzy. „Szopka“ ta zapełnia lukę w naszych wydawnictwach, dając młodzieży sztukę do grania, pełną życia i młodzieńczej werwy bez trudności technicznych połączonych z wystawą. Przez przeciąg trzech aktów snuje się przed oczami widza barwny i różnorodny obraz życia harcerskiego w polu, obozie, izbie harcerskiej, urozmaicone jędrnym humorem i osnuty tęczą młodzieńczych marzeń. Sztuka ta, znajdzie wśród młodocianych amatorów-artystów z pewnością gorących zwolenników, a u publiczności poklask i uznanie.

Sprostowanie.

Chodzący za św. Mikołajem djabełek i „Orlego Lotu“ nie pominął i spłatał pismu złośliwego figla: poprzemieniał napisy pod fotografjami w 9-tym numerze, Nie ma bowiem „Puhaczy“ na zdjęciu drapieżców pienińskich — ale są „Myszołowy“. I nie „Ryś“ gotuje się do skoku — aie „Żbik“.

Cena zeszytu pojedynczego (16 stronic) z przesyłką pocztową 20 gr., zeszytu podwójnego (32 stronic) 40 gr. Przedpłata roczna 2·— zł.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: **Księgarnia „Orbis“, Kraków-Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 401.101. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor: Dr. Tadeusz Kiełpiński, Kraków, Piotra Michałowskiego 3.
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis“.

Nakładem i drukiem „Orbis“ w Krakowie.